

Stefan Pastuszewski
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 9.XI.1980 r.
Godz. 16.05 - 17.30

~~JAK SZCZUR~~

Główny Urząd Kontroli Prasy
Publikacji i Widowisk
Delegatura w Bydgoszczy
uczestniczący z odroczeniem
i rozpowszechnienie

Wzrost - Nr R-10 Format -
Data 7 XI 80 Podpis [signature]

- Jak szczur. Jak szczur uciekał! - twarz Znanieckiego
wykrzywiła się w nerwowym grymasie. Pół otwarte usta trzęsły
się spazmatycznie.

- No i co, towarzyszu sekretarzu, no i co... - Janas
wyciągnął soliterowatą główkę do przodu jakby chciał przebić
nią sekretarza.

- Nie ma towarzysza, jest kolega! - warknął Kruk, znów
wykręcając rękę Barta do tyłu.

- On, kolega? - Janas zarechotał. - On ma być moim kolegą?
Prędzej bym...

- Tylko bez obrażania, tylko bez obrażania! Nie wolno szar-
gać ludzkiej godności! - głos Kruka był twardy, zdecydowany.

- Dlatego, że oni szargali ludzką godność, dlatego my teraz
strajkujemy. I dlatego też nie możemy postępować tak jak oni.

Janas przez chwilę był zbity z tropu i z jego szerokiej
twarzy wyczytać można było, że na gwałt usiłuje sobie przypom-
nieć to, co chciał przedtem powiedzieć. Udało się, bo znów
wyciągnął do przodu soliterowatą główkę:

- Chciał pan pobiec do białego domu, aby sprawdzić czy te cele, które dla nas przygotowaliście są w dostatecznej ilości, nie?

- Wiesz - zwrócił się do Szewsa, trzymającego Barta z drugiej strony. - Jarek mi mówił, że jak w Gdańsku zaczęli strajkować, to u nas pierwsze co zrobili, to poupychali kryminalistów po dwóch na jedną pryczę, aby zwolnić we więzieniu kilkanaście kibli. Niby na wszelki wypadek. Gdyby jakieś antysocjalistyczne elementy podniosły głowę.

- Idziemy! - zakomenderował Kruk. - Nie ma co politykować!

Gdy przechodzili obok magazynu, stojący na jego straży Kwiatek, [szambonurek jak go nazywali z racji tego, że zajmował się oczyszczaniem kanalizacji na terenie zakładu i robił inne, temu podobne brudactwa,] aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Chciał zwać przez płot! Jak szczur! - zawołał tryumfalnie Janas.

Szeroka, pobrużdżona twarz Kwiatka zaczęła drgać, co świadczyło o tym, że chce mówić, bo jąkał się straszliwie i aby wypowiedzieć jedno słowo musiał uruchomić cały aparat mięśniowy twarzy. I to nie zawsze ze skutkiem.

- Co chcesz powiedzieć, Jurek? - głos Kruka, po raz pierwszy od kilku godzin, był łagodny, tak zmieniony, że Znaniecki popatrzył na niego jak na zjawę.

- Ja, ja, ja, mu - mu - mu - muszę po - po - po - powiedzieć - szambonurek zbliżył się do prowadzonego przez robotników sekretarza.

- Czy to konieczne? - głos Kruka był nadal łagodny i ciepły, lecz jakby już nieco bardziej napięty.

- Ko, ko, ko...

- No, dobrze już, Jurek, dobrze, tylko nie gdacz - Kruk jakby się zniecierpliwił. - Wal!

- Wy, wy, wy, wy tak...

- Wy tak mówiliście, że klasa robotnicza jest przodującą siłą narodu, ale w to nie wierzyliście. A teraz możecie na własnej skórze się o tym przekonać - przetłumaczył ten bełkot Kruk.

Bart nic nie powiedział, bo co miał powiedzieć. Zresztą, gdyby nawet miał, to i tak by go nie posłuchali.

- "Krzyczą o demokracji, a nie chcą nas, partyjnych słuchać - pomyślał z goryczą. - Zupełnie jak byśmy to nie byli ludzie... Nie, nie, to nie tak. Tu nie o to idzie."

Po godzinie albo dwóch od momentu gdy go zamknęli w jego gabinecie, [dokładnie nie pamiętał, bo siedział jak w transie,] wszedł Suplik, brygadzysta z W-3. Usiadł w fotelu, na przeciwko wyglądającego jak worek kartofli, pobladłego i stłamszonego Barta. Spokojnie, jakby nic, zapalił papierosa. Zaciągnął się dymem, lecz po chwili jakby się zreflektował, bo wyciągnął paczkę "Klubowych" w kierunku sekretarza:

- Zapali pan?

Bart początkowo nie zorientował się w czym rzecz, bo nadal siedział jak człowiek pozbawiony kręgosłupa i wydawało się, że tylko ubranie podtrzymuje jego ciało przed rozlaniem się czy rozsypaniem, lecz po chwili chyba jednak pojął, bo zawołał:

- Nie, nie, nie!

- Przecież pan pali - głos Suplika był ojcowski, tak - ojcowski, bo przecież inaczej nie można było określić tonu, może nie tyle tonu co uczucia zawartego w głosie brygadzisty.

- Ach, tak, tak! - sekretarz wyglądał jakby wyrwany z głębokiego snu. - Palę. Przecież ja palę - na jego poszarzałej twarzy wykwitł łagodny, dziecięcy, nigdy u niego dotąd nie widziany uśmiech. Drżącymi palcami sięgnął po papierosa. Brygadzysta podał ogień.

- I trzeba było? Trzeba było uciekać? - w pytaniu Suplika tkwiła autentyczna pretensja.

Bart, który przez chwilę jakby się napiął, znów stracił wszystkie siły i znów wyglądał jak worek kartofli rzucony nie-
dbale na czerwony fotel. Nawet trzymany między palcami, [a raczej
nie trzymany, bo jego ^{dłonie} też wydawały się niczym z gumy,] papieros
również jakby zwiótczał.

- Przecież pan nie miał się czego bać. Do pana nie było poważniejszych pretensji - głos Suplika nasycony był autentycznym smutkiem. - Wie pan, wie pan co panu powiem? - brygadzysta zawiesił głos i przez moment popatrzył na szarą twarz, [a raczej na szary profil twarzy, bo tamten spoglądał w okno,] sekretarza. Proszę - brygadzysta wyciągnął z kieszeni pomiętą kartkę pokrytą gęstym, długopisowym pismem. - Oto jest pana nazwiskom

Bart niby chciał zobaczyć potwierdzenie tych słów, niby nie chciał. Wykonać coś w rodzaju gestu bagatelizującego całą sprawę, choć równie dobrze gest ten mógł być sięgnięciem po leżącą na ławie kartkę, sięgnięciem zakończonym oczywiście fiaskiem z uwagi na nagły odpływ sił z wysuszonej ręki, pokrytej rudawymi, zakręcającymi się niczym świńskie ogonki, włoskami. Suplik nie patrzył na to wszystko, tylko wygodnie ułożywszy głowę na oparciu fotela usiłował puszczać kółka papierosowego dymu.

- Wiecie..., wie pan - rozpoczął po długiej chwili milczenia Bart.

- Nieważne jak pan będzie mówił. Ważne co pan powie. To nie referat - któż by się spodziewał, nawet chyba sam mówiący, że Suplika, tak zawsze spokojnego, małowórnego, wręcz łagodnego faceta stać będzie kiedyś na taką jak ta złośliwość.

Nie, on tego nie powie. Teraz nie czas i miejsce na tłumaczenia. W ogóle żadne wyjaśnienia nie mają już najmniejszego sensu...

Zresztą, co by powiedział? Że ci z KW tak go urządzili? Gdy to wszystko, to znaczy postój... Nie, nie bądźmy tacy głupi jak ta cała nasza prasa i nie myślm, że jak czegoś nie nazwiemy po imieniu, to tego już nie ma... Gdy ten cały strajk się rozpoczął, to on był właśnie w Księgowości w celu uzgodnienia... Nie, on nawet już teraz nie pamięta po co był w Księgowości. W ogóle, gdyby tak wszystko, cały ten dzisiejszy dzień można byłoby do końca zapomnieć, całkowicie wykreślić... Boże, ile by za to dał, aby tego dnia nie było, a jak był, to aby, aby, jego w tym dniu nie było. Dlaczego, dlaczego nie można zasnąć, kiedy niedobrze człowiekowi żyć, dlaczego nie można wtedy zasnąć, a potem, potem, kiedy już wszystko się wyrówna, ubudzić się?

Bzdura, horrendalna bzdura! I on, on, materialista tak myśli...

To znaczy kiedy był w Księgowości... A może nie w Księgowości

tylko w Rachubie Płac?... No, kiedy tam był, ktoś krzyknął:

- Strajkują. U nas strajkują!!! Nie wiadomo czy na korytarzu

czy w dziale Księgowości lub Rachuby Płac, w każdym razie ktoś

krzyknął tak, jak obwieszcza się coś, co nie podlega żadnej

wątpliwości, jak pożar czy powódź, a on od razu pobiegł do

swojego gabinetu, aby zadzwonić, nie, nie wiedział wcale ^{dokąd} gdzie

dzwonić, choć przecież chciał zadzwonić, w każdym razie pobiegł

do swojego gabinetu, a sekretarka podała mu kartkę z jakimś

numerem i powiedziała, że ktoś przed chwilą dzwonił i prosił,

aby się natychmiast skontaktował w pilnej sprawie rodzinnej.

Popatrzył na kartkę. Numer wydał mu się znajomy, ale na pewno,

na pewno nie był to numer telefonu domowego. Więc kto? Brat?

Szwagier? A może ciotka Halina, która cierpi na reumatyzm, znów

chce, aby jej załatwić te holenderskie leki? Nie, w żaden

sposób nie mógł sobie przypomnieć skąd zna ten numer.

- Niech towarzyszka wykręci - poprosił, a raczej rozkazał,
bo on zawsze jej, towarzyszce Jatczak, rozkazywał. Nie mógł

jakoś nawiązać serdeczniejszego kontaktu z tą szeroką, rozdętą,

wbitą w granatowy kostium babą. Wykręciła. Odezwał się

towarzysz Waniorek i od razu z grubej rury do niego, że jak, że jak to możliwe, aby u niego był strajk, że on za to odpowie, że musi to wszystko natychmiast zatrzymać, że za godzinę, nie - za pół godziny ma natychmiast meldować o rozwoju sytuacji i że on na pewno wie jak ten meldunek ma wyglądać, że ma działać twardo, pryncypialnie, zdecydowanie, jak na członka partii, który wierzy w słuszną sprawę, przystało. Bart chciał powiedzieć, że jeśli ktoś wierzy w słuszną sprawę, to nie kryje się pod "pilną sprawą rodzinną", ale powiedział: "Tak jest" i odłożył słuchawkę. Wtedy, właśnie wtedy, poczuł po raz pierwszy jak mu kręgosłup mięknie i ciało staje się bezkształtne niczym worek kartofli.

Nie, to nie tak było, to nie od tego się zaczęło, Może się zaczęło, ale nie to było główną przyczyną tej jego nieudanej, bo gdyby była udana, to teraz by tu nie siedział, tylko udawał chorego w domu, ucieczki. Zwałać winę na kogoś... Nie, to nie po partyjnemu, tak tylko tchórze potrafią... Zresztą i tak prawda jest inna. Właśnie, kiedy tak po tej pilnej sprawie rodzinnej siedział w czerwonym fotelu i nie wiedział co robić, kiedy zaczął się rozwalać i tylko to ubranie, dobrze skrojone ubranie, które wraz z kilkoma aktywistami dostał na ostatnim

szkoleniu sekretarzy w prezencie od załogi, jak to zapewniał dyrektor Marciniak, "Modusa", wstrzymywało te jego ziemniaki przed rozsypaniem się na ugrowym chodniku, który z kolei komitet zakładowy dostał w prezencie od KZ-u w Minikowie, kiedy tak siedział i nie wiedział co robić, to znaczy kiedy już film zaczął mu się urywać, poczuł tę ranę. Nie, nie była to rana, ale blizna, już nawet nie blizna tylko nieczułe miejsce w dolnej partii lewych żeber. Momentalnie ujrzał wykrzywione, wściekłe, aż skamieniałe w tej wściekłości twarze fachowców z UB, którzy przypiekali żeberka, jak to pieczołtliwie określali. Nie, nie musiał wtedy niczego zeznawać, tylko trzeba mu było wyrównać te jego wypaczenia, które polegały na tym, że w aleksandrowskiej mleczarni, w której był kierownikiem, pozwolił na wolne dyskusje. Wtedy też do niego dzwonili, też ostrzegali, a on, stary aktywista PPR śmiał się z tego, bo on wiedział, on całym sobą wiedział, że socjalizm to demokracja, a w demokracji każdy może mówić co chce. Zresztą te wolne dyskusje nie odbywały się nawet przy jego współudziale, a on tylko na nią przyzwał, to znaczy nie tępił, a więc nie mógł być nawet oskarżonym o to, że coś tam mówił...

283

Nie, to też tak nie było. To znaczy było tak, tylko trochę inaczej. Gdy tak siedząc w tym czerwonym fotelu rozwalał się jak niedbale rzucony worek kartofli, poczuł też, ale w prawej dolnej partii żeber, ten dotyk. I znów zaczął się jakiś stary, porwany film. Śmieszne, ale po tylu latach, to znaczy chyba po trzydziestu, wciąż czuł, śmieszne, śmieszne, cholernie śmieszne, ale on wciąż jeszcze czuł tę rękę Jadwigi... Nie, nie, nikogo to nie obchodzi co on czuł. W każdym razie te porwane filmy w pewnym momencie jakoś nałożyły się na siebie i ujrzał jak ~~ci specjaliści z UB~~ podpiekają mu nie lewe, lecz prawe żeberka i on, już nigdy, nigdy więcej nie będzie czuł tej ręki Jadwigi...

- Nie, nic panu nie powiem - powiedział, tępo spoglądając na ugrowy dywan.

- Ale ja, ja i tak chyba pana rozumiem - rzekł brygadzysta, zaciągając się trzecim albo nawet czwartym już z kolei papierosem.

- - - - -